DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY
„DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO“

Rok 1924 Nr.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Narodziny wiosny.

Gdy pierwszy nastał dzień wschodzącej wiosny młodej,
najpierwszy zbudził się śpiący na dnie bóg wody,
i powstał z chłodnych leż i głową kędzierzawą
uderzył w lód, co legł na rzece lśniącą ławą,
i rozpękł z hukiem lód i z prądem kry się suną,
a w słońcu suszył bóg swą głowę kręteruną. —
A gdy goręcej blask słoneczny padł na gaje,
bogini wonnych ziół z pościeli miękkiej wstaje,
i rozpuściła włos, co aż do ziemi spływa,
i naga polem szła bogini złotogrzywa,
a kędy pola tknie jej włos, tam wnet się trawy
zielona puści ruń i szczaw zielono-rdzawy. —
Owiana ciepłem zórz, wiosennych tchem powiewów,
pieszczona wonią sfer, z różanych wyszła krzewów
i uśmiechnęła się do złocistego słońca
bogini, córa nieb, kwiatami władająca.
W złocisty szafir ócz objęła świat miłośnie,
a kędy spojrzy, kwiat prześliczny wnet wyrośnie
i wkoło lilii, róż, narcyzów kwitnie mnóstwo,
a wśród nich słońcu śle uśmiechy jasne bóstwo. —
I powstał lasów bóg, strząsł zwiędłe liście z głowy,
i z świeżych sobie wnet splótł liści wian dębowy,
i rozkołysał drzew gałęzie i konary,
i słuchał — — płynął hymn, hymn uroczysty, stary,
i długo słuchał bóg w powadze i zadumie
odwiecznych baśni, w tym rozkołysanych szumie. —
Brodatych faunów huf i śnieżne nimfy społem
za ręce wziąwszy się, pląsają nadzy kołem
na łące, kędy blask od słońca złoty pada — —
przy cudnej wiatru grze tam pląsa bóstw gromada.

. . . .

. . . .

Z dziejów Polski.

IV.

Władysław Herman i Bolesław Krzywousty.

Po mężnym, nieuskromionym gwałtowniku — niedołęga słaby na umyśle i na ciele, Władysław, pomny że cesarskiemu i czeskiemu poparciu zawdzięcza swoje panowanie, ślepo trzymał się cesarza i Czechów, ożenił się z księżniczką czeską, Judytą, i potulnie poprzestał na godności książęcej: nie stało mu woli, ni odwagi, by sięgać po koronę. Wspomnieniem świeżej zbrodni odstraszał go stołeczny Kraków, gdzie duchowni uroczyście złożyli w katedrze ciało zamordowanego biskupa. Siedział więc Herman w ulubionym Płocku, rządy małodusznie zdał na Sieciecha i ustanowił go swoim wojewodą, czyli dowódcą drużyny wojennej.

Długo nie mógł się Władysław doczekać następcy tronu. Z jakiegoś dawniejszego związku miał wprawdzie pobocznego syna, Zbigniewa, lecz ten chował się w klasztorze na mnicha. Wkońcu Judyta powiła syna, Bolesława, z powodu skrzywionej wargi zwanego Krzywoustym. Równocześnie wrócił do Polski Mieszko, siedemnastoletni syn Bolesława Śmiałego. Był to młodzian krzepki, dzielny i bystry, przeto lgnęły doń serca narodu. Stryjowi nie mogło się to podobać; niedogodny bratanek niebawem zginął otruty, z czyjego rozkazu — nietrudno się domyślić.

Herman, owdowiały po Judycie czeskiej, pojął siostrę cesarza Henryka, również imieniem Judytę. Macocha nie dbała o małego Bolka Krzywoustego. Zajmowała się sprawami państwowemi pospołu z Sieciechem, który, pozyskawszy sobie nową panią, jeszcze wyżej głowę zadzierał i wszystkich zrażał pychą i złemi rządami.

Nie dobył on miecza, gdy ziemia Czerwieńska z obronnemi grodami odpadała od Polski; zagrabili ją książęta ruscy, Rościsławowicze, podzielili między siebie i ruszczyli, osadzając ludem, napływającym z Rusi. Odtąd kraj ten, pierwotnie polski, przybrał nazwę Rusi Czerwonej, a do korony Piastów miał powrócić dopiero później, za Kaźmierza W.

Sieciechowi nie powiodły się kilkakrotne wyprawy na Pomorze; klęski nie poniósł, ale nie zdołał wcielić do państwa tej cennej ziemi nadbałtyckiej, przyłączonej niegdyś mieczem Chrobrego. Bolko Krzywousty, ledwo dziesięcioletni, wymógł na ojcu tę wojnę pomorską; malec okazał już wtedy, że rośnie na bohatera.

Niektórzy panowie, rozgoryczeni na Sieciecha, podnieśli bunt, a że Zbigniew był już dorosły, wyciągnęli go z klasztoru, postawili na czele i z poparciem Czechów ruszyli z nim na Śląsk. Zbigniew opanował Wrocław i nie sromał się z posiłkami pogańskich Pomorców prowadzić wojnę domową z ojcem i bratem. Kruszwica, przez Pomorców podpalona, stała w płomieniach, a pod miastem, które ze szczętem zgorzało, rozegrała się stanowcza rozprawa. Zbigniew pokonany dostał się do niewoli. Ojciec jednak dał się przebłagać i obu synom wyznaczył dzielnice, pozostawiając dla siebie tylko Mazowsze z Płockiem. Zbigniew otrzymał Wielkopolskę, czyli prastarą ziemię Polan. Krzywoustemu przypadło następstwo tronu z Krakowem i Małopolską, czyli z dawną Białochrobacją, ziemią Wiślan, a nadto ziemia śląska.

Pokrzyżowało to zamysły Sieciecha; dumny wojewoda pocichu dążył do zagłady Piastów, chciał po śmierci Hermana pojąć w małżeństwo Judytę i z nią zasiąść na polskim tronie. Dybał więc chytrze na życie obu młodych książąt. Spostrzegli się zawczasu i, choć dotąd niezgodni, zjednoczyli się przeciwko Sieciechowi. Zaślepiony Władysław nigdyby nie oddalił ulubieńca, synowie przeto podnieśli zbrojny bunt przeciw niedołężnemu ojcu i stanęli z wojskami pod Płockiem. Arcybiskup gnieźnieński, Marcin, wymógł oddalenie i wygnanie Sieciecha, synowie zaś pogodzili się z ojcem.

Prawy Chrobrego potomek, nie z krwi tylko, lecz z ducha, szesnastoletnim chłopięciem objął rządy po gnuśnym ojcu. Przez trzydzieści sześć lat panowania do pochew nie schował oręża. Bitny władca za główne cele życia obrał sobie odzyskanie Pomorza i wyrwanie Polski z pod niemieckiego zwierzchnictwa. Nieszczęściem Bolesława i Polski był Zbigniew; ten miał na oku jedynie własne wyniesienie; żadna wyższa myśl państwowa, żaden szlachetny zamiar nie przyświecał mu w duszy, zatrutej niską zawiścią przeciwko bratu.

Krzywousty natychmiast po śmierci ojca wyprawił się na Pomorze. Pierwszych jednak pięć lat zeszło na bezowocnych walkach, bo Zbigniew na swej dzielnicy wielkopolskiej ustawicznemi zdradami raz po raz unicestwiał stanowcze działanie wojenne. Kilkakrotnie to Czechów, to Morawian podjudzał do najazdów na Śląsk, tak iż Bolesław musiał z Pomorza wracać i bronić własnych granic; to znowu jawny bunt podnosił, gdy Krzywousty ponownie ruszał na Pomorców. Kiedy indziej, porozumiawszy się z nimi tajemnie, Zbigniew ułatwił im zasadzkę na Bolesława, z której Krzywousty ledwo z życiem uszedł dzięki nadludzkiej odwadze. Niezliczone zdrady, knowania i spiski zawsze kończyły się tem, że Zbigniew pokonany i zawstydzony przepraszał, wierność przysięgał, a miłosiernem przebaczeniem rozzuchwalał się niewdzięcznik i zaraz poczynał kuć nowe zamachy.

Ostatecznie wojna pomorska wzięła zwycięski obrót. Bolesław zdobył tamtejsze główne grody, Kołobrzeg, Wolin i Białogród. Nie na wiele zdało się Pomorcom powstanie, które podnieśli za poduszczeniem Zbigniewa. Stłumił je Krzywosuty, a walne zwycięstwo pod Nakłem (r. 1109) w jego moc podało cały kraj między Wisłą, Odrą a Bałtykiem. Wzorem Bolesława Chrobrego, nie wcielił Krzywousty Pomorza do Polski, tylko je zhołdował; pozostawił rządy w ręku tamtejszych rodowitych książąt, którzy się uznali jego lennikami. Z Pomorza chciał Krzywousty podjąć wyprawę na zaodrzańskich Obotrytów, te nadbałtyckie obadwa plemiona, tak blisko z Polanami spokrewnione, do wiary św. nawrócić i do państwa polskiego przyłączyć — taki był zamiar Bolesława. W przeciwnym razie obu tym ludom groziło niechybne wytępienie przez Niemców.

Ale podbój Zaodrza musiał pójść w odwłokę. Od zachodu nadciągała wielka burza. Zbigniew, zdrajca niepoprawny, dowojował się wkońcu wygnania, zaczem uciekł do cesarza Henryka V i naprowadził go na Polskę. Cesarzowi solą w oku była rosnąca potęga Bolesława, to też wdał się skwapliwie w zatargi między braćmi. Od Krzywoustego, jako lennika, zażądał, by mu złożył haracz i hołd i żeby połowę państwa dał Zbigniewowi. Krzywousty o jednem i drugiem słuchać nie chciał, więc Henryk z licznem wojskiem i posiłkami czeskiemi ciągnął przeciwko Polsce. Wkroczył na Śląsk, ale w drodze na Wrocław stawiło mu zacięty opór miasto Głogów. Cesarz rozpoczął oblężenie: kazał zbudować ogromne wieże drewniane, które na kołach zataczano pod miasto; w każdej wieży na linach zawisł potężny taran z łbem okutym w żelazo. Żołnierstwo, rozkołysawszy tarany, waliło niemi w mury, które łamały się i pękały. Głogowianie wymogli na cesarzu pięciodniowe zawieszenie broni, musieli jednak dać mu zakładników — nieletnie swoje dzieci: była to rękojmia, że przez ten czas nie podejmą zdradzieckiego napadu na cesarskie wojska. Dzieci odesłano do obozu i kto żyw dniem i nocą pracował dna naprawą murów. Gdy po dniach pięciu walka miała się rozpocząć na nowo, Henryk nie odesłał dzieci do miasta według zawartej umowy. Głogowscy mieszczanie ujrzeli ze zgrozą nieszczęsną dziatwę poprzywiązywaną do wież oblężniczych. Mieli do wyboru: albo miasto poddać, albo się bronić, rażąc pociskami swoje własne dzieci! Poświęcili rodzoną dziatwę, strzały posypały się szumem, głogowianom rozpacz dodawała męstwa; doczekali, aż Bolesław przybył z odsieczą i Niemców odrzucił z pod miasta. Potworne wiarołomstwo nic prócz wiecznej hańby nie przyniosło Henrykowi V.

Odparty z pod Głogowa ruszył cesarz na Wrocław. Nękał go Krzywousty ciągłemi napadami ze wszystki[…] stron, we dnie i w nocy. Niemców do bezsilnej wście[…] ści doprowadzała ta polska wojna podjazdowa, pro[…] dzona tak zajadle, jak niegdyś przez Chrobrego. Hen[…] wyczerpany, próbował już układów, sprawę Zbignie[…] gotów był opuścić, byle Krzywousty zgodził się na ho[…] i na haracz. Gdy wojewoda Skarbimir stanął w ces[…] skim obozie jako poseł Krzywoustego, pokazał mu H[…] ryk swoje niezmierne skarby na dowód, że ma za[…] prowadzić wojnę z Bolesławem aż do zupełnego zwyc[…] stwa. Starego wojownika nie olśniły cesarskie bogactw[…] zdjął z palca drogocenny pierścień i ze wzgardą rzucił [...] między tyle innych kosztowności: „Idź złoto do złota, [...] powiedział — my, Polacy, więcej niźli w złocie kochan[…] się w żelazie“. Henryk, zmieszany, odrzekł tylko: „Ha[…] dank“ — dziękuję. Na tę pamiątkę herbowy znak Ska[…] bimira i jego potomków nazwano herbem Habdank.

Skutkiem zerwania układów przez Krzywouste[…] przyszło do walnej rozprawy o milę od Wrocławia. C[…] sarz odniósł dotkliwą klęskę; na pobojowisku miało p[…] zostać tyle trupów niemieckich, że od wielkiej zgrai psów[…] co je pożerały, miejsce to nazwano Psie pole. Sromotni[…] powracał Henryk z Polski, która tą zwycięską wojną pod[…] trzymała swoją niepodległość.

Zbigniew usiłował teraz Czechów podburzać na Bolesława, lecz dla siebie nic nie wskórał w tych niepokojach i zatargach. A kiedy zgoda nastała między Czechami a Polską, zdrajca jeszcze raz uderzył w pokorę, uzyskał przebaczenie brata i powrócił do kraju. Niebawem atoli wysz[…] na jaw, że niegodziwiec podburza Pomorców do buntu. [...] dużo już było cierpliwości i pobłażania! Bolesław, dostaws[…] go w swoje ręce, kazał go — zwyczajem ówczesnym — oślep[…] Krzywousty nie mógł tego przeboleć, długo i surowo p[…] kutował za ten wyrok, na który przecie Zbigniew zas[…] zasłużył.

Teraz dopiero mógł Bolesław sięgnąć mieczem po Z[…] odrze. Ruszył na pogańskich Lutyków, zdobył stolicę kr[…] Szczecin i księcia przyniewolił do hołdu. Posunął się jesz[…] dalej na zachód i zagarnął część krainy obotryckiej. L[…] nie o sam podbój chodziło Krzywoustemu, ni o samo [...] szerzenie granic. Pragnął chrześcijaństwo zaprowadzić [...] tych dzielnicach słowiańskich i zachodnią cywilizację rozk[…] wić. Należało przedewszystkiem wytępić główne gniaz[…] bałwochwalstwa, zburzyć prastarą kontynę Światowida na b[…] tyckiej wyspie Rujanie czyli Rugji. Łodziami przeprawił [...] Bolesław na wyspę, zdobył ją i wszystkie prastare świętoś[…] pogańskie rozwalił i podpalił.

Pozyskanie Pomorza miało dla Polski niezmierne zn[…] czenie. Państwu Piastów otworem stanęło morze Bałtyck[…] Wszelaki polski wyrób, a zwłaszcza ziemiopłody, mogły Od[…] Wisłą i Bałtykiem płynąć w świat szeroki. Dla każde[…] państwa dostęp do morza jest niezbędny, jak oddech [...] każdego żywego stworzenia. Polska dzięki Bolesławowi mi[…] swoje morze, mogła żyć i oddychać pełną piersią. Krzy[…] usty rozumował, że mieczem nie można nikogo nawracać. N[…] bałtyckie zdobycze leżały teraz jak zorana rola, czekająca [...] posiew Prawdy Bożej. Na wezwanie Bolesława podjął [...] apostolskiej pracy bamberski biskup Otto, policzony późni[…] w poczet świętych. Wszelkie dawniejsze wysiłki by nawró[…] Pomorców rozbiły się o to, że duchowni ubóstwem i pok[…] swoją budzili tylko wzgardę i pośmiech bogatego plemie[…] Święty Otto zjechał tedy na Pomorze dworno i szumnie, [...] okazałych szatach i z licznym orszakiem, niby potężny w[…] moża, i tem wzbudził u barbarzyńców podziw dla siebie [...] a szacunek dla swojej wiary. Działalność jego przyniosła [...] plon obfity. Na gruzach pomorskich kontyn wzniosło się niebawem jedenaście kościołów i osobne biskupstwo pomorskie.

Pod koniec życia w bojach z Rusią i Węgrami nie [...] szczęściło się Bolesławowi. Stary lew, który zasłyna[…] męstwem w czterdziestu siedmiu bitwach, ponosił teraz do[…] tkliwe porażki, a nawet klęski srogiej doznał pod Haliczer[…] na rok przed śmiercią. Bolesne to upokorzenie zatruło mu [...] schyłek wojowniczego żywota. Pozostawił jednak po sob[…] w dziejach pamięć chlubną, jako waleczny i niezmordowan[…] król-bohater.

Nieszczęściem dla Polski była nie klęska pod Haliczem, ale raczej ostatnia wola Krzywoustego, rozdrabniająca pa[…] stwo na dzielnice. Bolesław miał pięciu synów; jeśli państ[…] przekaże jednemu, tamci, wydziedziczeni — wichrzyć i zd[…] dzać nigdy nie przestaną, jak Zbigniew. Ustanowił tedy [...] łożu śmierci, że najstarszy w rodzinie Piastów ma zaws[…] dzierżyć zwierzchniczą władzę monarszą nad całą Polską [...] stolicą państwa Krakowem i tytułem w księcia. Nadto na[…] starszy syn Władysław, jako dzielnicę już osobistą dla siebie [...] i swoich potomków, dostał Śląsk. Dla drugiego Bolesława, nazywanego Kędzierzawym od kręconych włosów, przeznaczy[…] ojciec Mazowsze i Kujawy. Trzeci Mieszko zwany Starym otrzymał rządy nad Wielkopolską; czwartemu zaś, Henrykowi, przypadła w udziale ziemia sandomierska. Najmłodszy, Kazimierz, był jeszcze niemowlęciem, jemu Krzywousty nie [...] wyznaczył żadnej dzielnicy, rzekł tylko, że jak u wozu najważniejszą częścią jest wasąg, tak między czterema braćmi Kazimierz kiedyś najpoczestniejsze miejsce posiędzie. Jakoż słowa te ziściły się później na wydziedziczonym sierocie.

MARJA KONOPNICKA.

Niemczaki.

(Dokończenie.)

Oczywiście, że te imprezy trzymane były w zupełnej tajemnicy: młodszy tylko Niemczak, który starszego na krok nie odstępował, przypuszczony był do nich na widza! Ale ten umiał sekret utrzymać i kawalerskim honorem równie jak starszy się rządził. Ogromnie się te chłopczyki kochały!

Zdarzało się też, że sami we dwóch urządzali sobie na własną rękę „Instrukcję", przyczem starszy dziwnie czupurnie naśladował komendę starego pana, a młodszy ruchy domowych chłopców wlot chwytał. Zwłaszcza w atakach na bagnety pędrak ten celował. Kiedy się na nożynach rozstawił, bokiem nieco zwrócił, kij ujął i, oganiając się to na lewo, to na prawo, w cel godził, czy w psią budę, czy w krzak jałowcu, czy w grochowe tyczki, reprezentujące nieprzyjacielską potencję — tak mu to wszystko składnie szło, jakby się w szermierstwie owszem od pieluch był ćwiczył.

Patrzył dziad na to nieufnie, niechętnie, umyślnie w stronę odwracając głowę.

— Ależ to istny żuaw, ten chłopak! — wykrzykiwał gospodarz z podziwem.

— Ot, szwabskie małpiarstwo i tyle! Czy składność żołnierza robi? To dusza go robi, mości dobrodzieju, dusza!

Raz tylko, kiedy po walnej wygranej Niemczaki na kiju uwiązali chustkę i, z trjumfem mimo ganku idąc, wznieśli okrzyk zwycięstwa, jakiego dziad świeżo domowych chłopców wyuczył, stary pan otworzył usta, brwi podniósł, przechylił głowę, słuchał, a potem z cicha:

— A kto ich wie? A może?...

Po dawnemu ich wszakże zdaleka od „Instrukcji" trzymał.

Jakoś gospodarzowi to markotno było. Więc kiedy wypadł objazd dalszego folwarku, a konia mu przed ganek po takiej właśnie „Instrukcji" podano, spojrzał na starszego z chłopców i, kładąc nogę w strzemię, krzyknął:

— Niemczak! Chcesz się konno przejechać?

Skoczył chłopak jak iskra, gospodarz go przed siebie wziął, cmoknął, a młody, rwisty koń w szczupakach z miejsca pomknął.

— Uważaj! — krzyknął stary pan z ganku — bo cię ten warjat z kulbaki wysadzi.

— Oho! Nie dam się! — odkrzyknął jeździec, ale głos jego już do ganku echem tylko doleciał, tak koń rwał drogę przed sobą. Folgował mu pan, bo lubił to ogniste zwierzę. Po żyłach mu taka jazda szła, jak mówił, więc choć żona truchlała, ile razy Rokitę siadał, nie byłby go oddał za nic, ani się wyrzekł swoich na nim harców.

Jeszcze wszakże do folwarku było drogi kęs, kiedy osadził konia i, przyłożywszy rękę do oczu, pod słońce patrzył. Ale im dłużej patrzył, tem głębsza zmarszczka naczyła mu czoło. Za ugorem, który tuż przy drodze chłop orał, widać było kupę ludzi i wozy ze zbożem. Jak się to jednak często przy złem rozporządzeniu robotników zdarza, w polu ludzie stali, czekając na wozy, a u stodół znów wozy stały, za mało rąk mając do składania z nich użątku. Nic bardziej drażniącego dla gospodarza, nad widok takiej niesprawy.

Na przełaj zrazu jeździec chciał, ale mu konia na świeży podór żal było; ku drodze spojrzał, ale mu się ej więcej zdało, nieli cierpliwości czuł w sobie. Krzyknął tedy na chłopca, uzdę mu i dziecko potrzymać kazał, sam, szerokim i zirytowanym krokiem ku żniwiarzom się puścił.

Był już przy nich, już słychać było jego grzmiącą komendę, kiedy woły splątały się w pługu i, przewróciwszy do góry krojem, ciągnęły po skibach. Krzyknął chłop raz, krzyknął drugi, a widząc, że nie pomaga, zaklął siarczyście, chłopcu uzdeczkę rzucił i do wołów skoczył.

Malcowi zaiskrzyły się oczy, rozdęły drobne nozdrza, ścisnął uzdeczkę w garści, konia piętą w bok, i tyleś go widział! Właśnie jakby go wiatr zdmuchnął.

— Paniczu! paniczu! — wrzeszczy chłop, mocując się na nawrocie z wołami. Gdzie! Ani mowy, żeby go usłyszał.

Obejrzał się na to wołanie gospodarz — struchlał.

— Niemczak! — zakrzyknie — Chryste Panie! Cudze dziecko!

Rzucił się do woza.

— Wyprzęgać! Gonić!

Ręce mu się trzęsą, scyzorykiem rzemienie rozrzyna, ale nim na konia oklep skoczył, już tylko kłąb pyłu poławiał drogą.

Stał pan stary w ganku i, wypaliwszy fajkę, wytrząsał ją właśnie, kiedy posłyszał jakiś szalony tętent. Jeszcze nie zdążył pomiarkować gdzie i z jakiej strony, już Rokita jak wicher na dziedziniec wleciał, a na Rokicie trochę blady, ale tęgo się trzymający w siodle — Niemczak. Jasna, perkalowa bluzka w powietrzu powiewa, oczęta rozpromienione, uśmiech szczęścia w twarzy; koło u kwietnia zatoczył i prosto przed ganek.

Wypuścił dziad cybuch, otwarł ramiona, zaniemiał. A już też gospodarz nadlatywał w ogniu cały i za uzdeczkę chwytał, słowa na razie przemówić niezdolny.

Porwał z siodła Niemczaka pan stary i długo na piersi go tulił, śmiejąc się i płacząc razem.

— Nasza krew! Nasza... Nasz ród stary! poczciwy! szlachecki! — wołał, całując chłopca po włosach, po twarzy, a kiedy go wreszcie puścił i oczy otarł:

— A co, Stefanie! — rzekł. — Choćbyśmy go Stachem nazwali....

Kiedy twardą jesienią przybył ojciec, żeby chłopców zabrać i za opiekę nad nimi dziękować, nie poznał ich prawie, tak zakwitli zdrowiem i świeżością.

Zagadał do starszego, a ów z miejsca, choć z akcentem jeszcze:

— Ty do mnie, ojciec, po polsku mów, bo ja ciebie nie rozumiem!

HENRYK SIENKIEWICZ.

Na niedźwiedzia.

Stryj Maćko czuł się coraz gorzej. Z początku podtrzymywała go radość z powrotu i pierwsze domowe zajęcia, lecz trzeciego dnia wróciła mu gorączka i ból w boku z taką siłą, iż musiał się położyć. Drzazga w ranie dolegała mu widocznie i wszyscy mówili, że na to niema lekarstwa, oprócz niedźwiedziego sadła. Trzeba było zabić niedźwiedzia i młody Zbyszko postanowił wybrać się na te łowy. Poszedł naprzód w dzień, obejrzał barci, zobaczył, że jest blizko ogromny ślad na błocie — i rozmówił się z bartnikiem Wawrkiem, który nocami sypiał w pobliżu w szałasie, razem z parą srogich, podhalskich kundli, ale właśnie miał się już wynieść do wsi z powodu chłodów jesiennych.

Obaj rozrzucili szałas, zabrali psy, tu i owdzie rozsmarowali trochę miodu po pniach, by zapach znęcił zwierza, zaczem Zbyszko wrócił do domu i począł się gotować na wyprawę. Ubrał się dla ciepła w kubrak łosi bez rękawów; na ciemię nawdział żelazny czepiec z drutu, aby niedźwiedź nie mógł mu obedrzeć skóry z głowy, wreszcie wziął widły dobrze okute, dwuzębne, z zadziorami, i topór stalowy, szeroki, na dębowem toporzysku, nietak krótkiem, jakich zażywają cieśle. O wieczornym udoju był już u celu, i wybrawszy sobie dogodne miejsce, przeżegnał się, zasiadł i czekał.

Czerwone promienie zachodzącego słońca świeciły między gałęziami chojarów. Po wierzchołkach sosen tłukły się wrony, kracząc i łopocąc skrzydłami; gdzieniegdzie kicały ku wodzie zające, czyniąc szelest po żółciejących jagodziskach i po opadłych liściach; czasem śmignęła po buczku chybka kuna. W gąszczach odzywał się jeszcze świegot ptaków, który stopniowo ustawał.

O samym zachodzie nie było w borze spokoju. Przeszło niebawem opodal Zbyszka stado dzików z wielkim hałasem i fukaniem, a potem kłusowały łosie długim rzędem, trzymając jeden drugiemu łeb na ogonie. Suche gałęzie trzeszczały im pod racicami, i las aż dudnił, one atoli, połyskując czerwono w słońcu, dążyły do błota, gdzie im było nocą bezpiecznie i błogo. Nareszcie zorze rozpaliły się na niebie, od których wierzchołki sosen zdawały się płonąć, jak w ogniu, i zwolna jęło się wszystko uspokajać. Bór szedł spać. Mrok wstawał od ziemi i podnosił się w górę ku świetlistym zorzom, które też wkońcu poczęły omdlewać, zasępiać się, czernieć i gasnąć.

— Teraz, póki się wilki nie obezwą, to będzie cicho. — pomyślał Zbyszko.

Żałował jednak, że nie wziął kuszy, mógłby był bowiem z łatwością położyć dzika lub łosia. Tymczasem od strony błota dochodziły jeszcze czas jakiś przytłumione odgłosy, podobne do ciężkiego stękania i poświstywania. Zbyszko spoglądał ku temu błotu z pewną nieufnością, albowiem chłop Radzik, który mieszkał tu niegdyś w ziemnej chacie, znikł razem z rodziną, jakby się pod ziemię zapadł. Jedni mówili, że porwali ich zbóje, byli wszelako ludzie, którzy widzieli później wedle chaty jakieś dziwne ślady, ni to ludzkie, ni zwierzęce — i którzy bardzo kręcili nad tem głowami, a nawet namyślali się, czyby nie sprowadzić księdza z Krześni, aby tę chałupę poświęcił. Nie przyszło wprawdzie do tego, bo nie znalazł się nikt, któryby chciał tu zamieszkać, i chatę, a raczej glinę na chróścianych ścianach rozpłukały z czasem dżdże — miejsce jednakże nie używało odtąd dobrej sławy. Nie uważał wprawdzie na to Wawrek, bartnik, który tu nocowywał latem w szałasie, ale i o tym Wawrku różnie mówiono. Zbyszko, mając widły i topór, nie obawiał się dzikich zwierząt — myślał natomiast z pewnym niepokojem o siłach nieczystych i rad też był, gdy owe gwary wreszcie umilkły.

Ostatnie odblaski znikły, i uczyniła się noc zupełna. Wiatr ustał, nie było nawet zwykłego szumu w wierzchołkach sosen. Kiedy niekiedy spadała tu i owdzie szyszka, wydając na tle ogólnego milczenia odgłos mocny i donośny, ale zresztą było tak cicho, że Zbyszko słyszał własny oddech.

W ten sposób przesiedział długi czas, rozmyślając o niedźwiedziu, który mógł nadejść, ale potem nie myślał już o niczem. Nagle ocknął się Zbyszko — i ocknął się nietylko dlatego, że sobie przypomniał bór ciemny, ale i dla tej przyczyny, że z dala za nim ozwał się jakiś szelest.

Wówczas ścisnął mocniej widły w garściach, nadstawił uszu i począł słuchać.

Szelest zbliżał się i po niejakim czasie stał się całkiem wyraźny. Chrupały pod czyjąś ostrożną stopą suche gałązki, szurały opadłe liście i jagodziska... Coś szło.

Chwilami szelest ustawał, jak gdyby zwierz zatrzymywał się przy drzewach, i wówczas robiła się taka cisza, że Zbyszkowi poczynało aż w uszach dzwonić — poczem znów odzywały się kroki wolne i przezorne. Wogóle było w tem zbliżaniu się coś tak ostrożnego, że Zbyszka ogarnęło zdziwienie.

— Musi się „Stary" psów bać, które tu były przy szałasie, — rzekł sobie; — ale może to i wilk, który mnie zwietrzył.

Tymczasem kroki ucichły. Zbyszko jednak słyszał wyraźnie, że coś zatrzymało się może o dwadzieścia albo o trzydzieści kroków za nim i jakby przysiadło. Obejrzał się raz i drugi — ale lubo pnie rysowały się w zmroku dość wyraźnie, nie mógł nic dojrzeć. Nie było innej rady, tylko czekać.

I czekał tak długo, że aż zdziwienie ogarnęło go po raz wtóry.

— Niedźwiedź nie przyszedłby tu przecie spać pod barcią, a wilk byłby mnie już zwietrzył i teżby nie czekał do rana.

I nagle mrowie przeszło go od stóp do głowy.

A nuż to co „paskudnego" wylazło z błota i zachodzi mu z tyłu? Nuż niespodzianie chwycą go jakie oślizgłe ramiona topielca, albo zajrzą mu w twarz zielone oczy upiora, — nuż się coś roześmieje okropnie tuż za nim, albo z za sosny wylezie sina głowa na pajęczych nogach?

I uczuł, że pod żelaznym czepcem włosy poczynają mu się jeżyć.

Lecz po chwili szelest odezwał się przed nim — i tym razem wyraźniejszy jeszcze, niż poprzednio. Zbyszko odetchnął. Przypuszczał wprawdzie, że to to samo „dziwo" obeszło go, a teraz zbliżało się z przodu. Ale to wolał. Chwycił wygodnie widły, podniósł się cicho i czekał.

Wtem nad głową usłyszał szum sosen, na twarzy uczuł silny powiew, ciągnący od strony błota, i jednocześnie do jego nozdrzy doleciał swąd niedźwiedzi.

Nie było teraz najmniejszej wątpliwości: szedł myś!

Zbyszko jednej chwili przestał się bać, i pochyliwszy głowę, wytężył wzrok i słuch. Kroki zbliżały się ciężkie, wyraźne, swąd czynił się ostrzejszy; wkrótce dało się słyszeć sapanie i pomruk.

— Byle nie szło dwóch! — pomyślał Zbyszko.

Ale w tej chwili zobaczył przed sobą wielki i ciemny kształt zwierzęcia, które, idąc z wiatrem, do ostatniej chwili nie mogło go zwietrzyć, tembardziej, że zajmował je zapach rozsmarowanego po pniach miodu.

— Bywaj, dziadku! — zawołał Zbyszko, wysuwając się z pod sosny.

Niedźwiedź ryknął krótko, jakby przerażony niespodzianem zjawiskiem, lecz był już zbyt blizko, aby mógł ratować się ucieczką, więc w jednej chwili podniósł się na zadnie łapy, rozwarłszy przednie, jak do uścisku. Tego właśnie czekał Zbyszko: zebrał się w sobie, skoczył jak błyskawica i z całą siłą potężnych ramion oraz własnego ciężaru wbił widły w piersi zwierza.

Cały bór zatrząsł się teraz od przeraźliwego ryku. Niedźwiedź chwycił łapami widły, pragnąc je wyrwać, ale zadziory przy ostrzach wstrzymały, więc poczuwszy ból, zagrzmiał jeszcze straszliwiej. Chcąc dosięgnąć Zbyszka, wsparł się na widłach i wbił je w siebie mocniej. Zbyszko, nie wiedząc, czy ostrza weszły dość głęboko, nie puszczał rękojeści. Człowiek i zwierz poczęli się szarpać i szamotać. Bór trząsł się wciąż od ryku, w którym brzmiała wściekłość i rozpacz.

Zbyszko nie mógł się jąć topora, nie wbiwszy poprzednio drugiego zaostrzonego końca wideł w ziemię, niedźwiedź zaś, chwyciwszy za osadę łapami, miotał nią i Zbyszkiem, jakby rozumiejąc, o co chodzi — i mimo bólu, który sprawiało mu każde poruszenie utkwionych głęboko ostrzy, nie dając się „podeprzeć". W ten sposób straszna walka przedłużała się — i Zbyszko zrozumiał, że siły jego wkońcu wyczerpią się. Mógł także upaść, a wówczas byłby zginął, więc zebrał się w sobie, wytężył ramiona, rozstawił nogi, wygiął grzbiet jak łuk, by się nie przewrócić nawznak i począł powtarzać przez zaciśnięte zęby:

— Moja śmierć, albo twoja!...

I chwycił go wreszcie taki gniew, taka zawziętość, że istotnie wolałby był w tej chwili sam zginąć, niż bestję puścić. Wreszcie zawadziwszy nogą o korzeń sosny, zachwiał się i byłby padł, gdyby nie to, że w tej chwili stanęła przy nim jakaś ciemna postać — i drugie widły „podparły" bestję, a jednocześnie głos jakiś zawołał mu nagle tuż nad uchem:

— Toporem!...

Zbyszko w uniesieniu walki ani na jedno mgnienie oka nie zastanowił się, skąd mu niespodziewana pomoc nadeszła, natomiast chwycił topór i ciął strasznie. Trzasnęły teraz widły, złamane ciężarem i ostatnią konwulsją zwierza — ów zaś zwalił się, jakby piorunem rażony, na ziemię i począł na niej chrapać. Lecz zaraz ustał. Nastała cisza, przerywana tylko głośnym oddechem Zbyszka, który wsparł się o sosnę, gdyż nogi chwiały się pod nim. Po chwili dopiero podniósł głowę, spojrzał na stojącą obok siebie postać — i przeląkł się, myśląc, że to może nie człowiek.

— Ktoś jest? — zapytał niespokojnie.

— Jagienka! — odpowiedział cienki niewieści głos.

Zbyszko aż zaniemówił ze zdziwienia, oczom własnym nie wierząc. Ale wątpliwości jego nie trwały długo, gdyż głos Jagienki ozwał się znowu:

— Bojałam się o ciebie, bo Bezduch poszedł też z widłami i z toporem — i niedźwiedź go ozdarł. Broń czego, Boże, Maćkowi byłoby markotno, a on przecie i tak ledwie dycha... No, to i wzięłam widły i poszłam.

— Toś to ty zachodziła tam za sosny?

— Ja.

— A jam myślał, że to „złe". Czemuś się nie obezwała?

— Bom się bała, że mnie odpędzisz.

I to rzekłszy, zaczęła krzesać ogień, a następnie położyła na hubkę kłaczek suchych konopnych paździerzy, które wnet strzeliły jasnym płomieniem.

Po chwili buchnęło wesołe ognisko, którego blask rozświecił ogromne, rude cielsko niedźwiedzia, leżące w kałuży krwi.

— Hej, sroga stwora! — ozwał się z pewną chełpliwością Zbyszko.

— Ale ci łeb prawie całuśki rozwalony! O Jezu!

To powiedziawszy, schyliła się i zanurzyła rękę w kudłach niedźwiedzie, aby przekonać się, czy zwierz dużo ma w sobie sadła, poczem podniosła się z wesołą twarzą:

— Będzie sadła na jakie dwa roki!

Zbyszko popatrzył na wdzięczną twarz Jagienki, oświeconą blaskiem płomieni, i rzekł z mimowolnem zdziwieniem:

— Ale takiej drugiej dziewczyny, jak ty, to chyba na świecie niema. Tobieby na wojnę chodzić!